TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II Nr. 2 151 East 67 Street, New York, N.Y. 8. I. 1942

Etiuda rewolucyjna.
/W rocznicę powstania styczniowego/.

Kilkadziesiąt stron historji narodu, którego wiecznym przeznaczeniem jest walka i długie lata cierpień, dzielą nas od pól Siemiatycz, Miechowa, Węgrowa, od melodji srebrnych nurtów "Wiernej Rzeki", od wizji Trauguttów, Langiewiczów, Sierakowskich, Hauke-Bosaków i Mierosławskich.

By ocenić wielkość ich ofiary, patos ówczesnej rzeczywistości polskiej i bohaterstwo tych, którzy stawali do boju bez nadziei zwycięstwa - musiało minąć 79 lat, musiała się skrwawić Europa, musiał się wiek dwudziesty dopuścić dwukrotnej hańby wojny, głodu i niewoli.

Nawet ci, którzy uważali powstanie styczniowe roku 1863-go za wybryk polskiego romantyzmu, chylą dziś czoła przed jego logiką, obliczoną na najdłuższą metę. Sceptycznie nastawieni do idei mesjanizmu, rozumiemy ją dziś lepiej przez analogję nastrojów w Kraju, odległym od nas a tak nam bliskim. Wolni od pęt surowego objektywizmu historyka, krytycznie analizującego płomienny manifest Tymczasowego Rządu Narodowego z 22 stycznia, przeżywamy poraz wtóry okres cierpień i mistycyzmu, wyrosłego właśnie na podłożu tych cierpień.

Dzień dzisiejszy, rewolucyjna epoka walk i burz, daleka od powojennego filisterskiego pozytywizmu dni spokojnych, pozwala nam lepiej wczuć się w duszę powstańca w roku 1863-go: byłego wojskowego rosyjskiego, pruskiego, austrjackiego, wychowanka emigracyjnej szkoły wojennej, rzemieślnika i studenta, który rzucał dom, rodzinę, spokojną, często wygodną egzystencję, by kryć się w lasach, łączyć w "partje" i stawać bez szans do szaleńczych zmagań z nierównie liczebniejszym, lepiej uzbrojonym wrogiem.

Dzień dzisiejszy przynosi nam zrozumienie niezrozumiałych dla wielu wczoraj słów Romualda Traugutta, tłumaczących sens ideowy powstania: "To, co głosimy nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciom tak stałym i niezłomnym, że za nie w każdej chwili też życie dać jesteśmy gotowi i codzień je narażamy..."

Dziś walczy nietylko polski partyzant w Białowieskiej puszczy. Gierylasówka skutecznie działa w lasach Jugosławji, w wąwozach Grecji, na tyłach frontu wschodniego, w norweskim fiordzie i na przedmieściach Paryża. "Walka bez celu", z której tak kpiły całe pokolenia trzeźwych

historyków, staje się celem samym w sobie, staje się nietylko krwawym dokumentem żywotności narodu, demonstracją obliczoną na rozbudzenie sumienia świata, przypomnieniem narodom obojętnym i tchórzliwym kardynalnych zasad sprawiedliwości historycznej - lub potężnym wstrząsem,który mija i z czasem przeradza się w małoznaczny epizod o archiwalnej wartości. Nietylko wstrząsem i demonstracją.

Walka podziemna narodu staje się koniecznością, fundamentem prawnym przyszłej samodzielnej formy ustrojowej, podstawą żądań w chwili ostatecznego rozrachunku. Kilkunastu legjonistów Piłsudskiego nie wiedziało, kierując się z Oleandrów ku granicom Królestwa, iż staną się bodaj najwyższym atutem w rękach Paderewskiego i Dmowskiego w historycznych rozgrywkach dyplomatycznych o wielką Polskę Polaków, może wyższym od tysiąca lat dziejów i praw narodu, wyższym, bo - bliższym i naocznie stwierdzonym.

Wie o tym polski bojowiec w Kraju, wie polski żołnierz w górach Szkocji i na piaskach Afryki, marynarz na Atlantyku i lotnik nad Bremą. I dlatego rozumie lepiej od nas owego panicza, który opuścił pewnej mroźnej nocy styczniowej 1863-go roku biały dworek nad Niemnem i z dubeltówką ojcowską na ramieniu szedł w lasy, w imię czegoś, czego nie mógł wytłumaczyć płaczącej matce, ale o czem był przekonany w głębi swego polskiego serca. Rozumiała go grottgerowska panienka w krynolinie, która zawiesiła mu na szyi złoty krzyżyk i taki sam znak krzyża uczyniła na czole bez zbędnych słów pożegnania. I długo jeszcze stała w progu, wpatrzona w płatki śniegu, wsłuchana w oddalające się kroki szaleńca-rewolucjonisty, pierwszego nieznanego żołnierza pierwszej wojny z totalizmem.

Jerzy Tepa.

W i e r s z z R i o d e J a n e i r o.

Nie umiem z wami płynąć, obłoki nad czołem,
Ani lecieć na wiatrach, to się już nie zmieni.
Serce mam podeptane, z pod nóg je podjąłem
Bije we mnie milcząco i chłód ma kamieni.

Nic mi z tej wymarzonej nad morzem urody,
Kiedy bez drgnienia patrzę jak wieczór zdmuchnięty
Liljowieje na wyspach, jak schodzi do wody
I lampami o zmierzchu mrugają okręty.

Drzewa w kwiatach, tak czułe i bliskie mi zawsze,
Mijam obcy i nawet nie pytam jak zwą się
Te liściaste fontanny, od słońca jaskrawsze,
W rosie białej, w kielichach niebieskich i w ponsie.

Nocą leżę pod niebem twardem, nieruchomem,
Wyrąbanem w księżycu - i ciężką powieką
Unoszę się do góry, ponad śpiącym domem
Krążę błędny, i myślę: jak bardzo daleko.

Gołe, miedziane skały, nad któremi za dnia
Ptaki wiszą drapieżne, teraz w środku miasta
Pokładły się jak sfinksy... Pod nimi zapadnia,
Pustynia palm i urwisk wokół się rozrasta.

Na tej górze stał Chrystus objęty światłami,
Jakgdyby schodził z nieba i rozkładał ręce,
Mieszkaniec zaświatowy, jeden co nad nami
Pochylał się i jeden co współczuł udręce.

Swiatła już pogaszono. Zamknęło go wieko
Wyrąbane z obłoków, nie widać gdzie stoi.
Opuszczam się w głąb ciemną, przykrywam powieką,
Kamień ciągnie mnie na dno, kamień w piersi mojej.

Kazimierz Wierzyński.

Przywitanie z Wandą.

Wanda Landowska jest od paru tygodni w New Yorku po całej dziś już dla iluż z uchodźców banalnej epopei wszelkiego rodzaju trudności, nieporozumień, formalności wyjazdowych i wjazdowych: już o nich zapomniała, już znów cały dzień siedzi przy klawikordzie, grając /i nucąc przytem sobie/ wielkich klasyków; za parę tygodni będzie miała pierwszy koncert, - jestem pewny, że za parę dni tłoczyć się będą do niej uczniowie i uczennice - Wśród tylu wytrąconych z równowagi zmianą pokoju czy biurka, tylu wspominających bezustannie dawny swój salon czy kuchnię - Wanda, która żyła jak wieszczka i królowa, otoczona zachwytem i miłością, celebrując w swojej podparyskiej kaplicy najwyższe misterja sztuki - zdaje się myśleć tylko o przyszłych koncertach, o nowych programach, nie o powodzeniu, broń Boże - ale o tem aby najpiękniej zagrać Variations Goldberg, aby odszukać sonatę Mielczewskiego, kiedyś przez siebie odkrytą - nie zdaje się dla niej nie istnieć oprócz przyszłości, dla niej, która ma przeszłość tak wspaniałą i wzywającą do wspomnień Wanda Landowska ma lat.... Mógłbym je wymienić, bo ich liczbę sama kokieteryjnie głosi, ale niktby mi nie uwierzył patrząc na Wandę tak samo zawsze młodą, pełną projektów, śmiechu z doznanych trudności, uśmiechu do tego, co przyjdzie; parę minut rozmowy z tą czarnowłosą /nie siwowłosą/ małą, szczupłą, zawsze uśmiechniętą panią w secesyjnej sukni wystarcza abyś zapomniał o codziennych troskach, o utraconych dostatkach, abyś zrozumiał, że ważne jest jedynie to, co będzie i to co zostanie zawsze, czego nic nie zniszczy: "Tout passe. L'art robuste seul a l'eternité".

Od dnia wyjazdu z Francji, ilekroć myślałem o pozostałych tam przyjaciołach, wciąż miałem przed oczyma Wandę Landowską, o której niemogłem zdobyć żadnej wiadomości, która mieszkała pod Montmorency na samej drodze niemieckiego marszu na Paryż i na parę dni przed zajęciem stolicy jeszcze tam była wśród nieukrytych i nieprzygotowanych do drogi klawikordów, bezcennych rękopisów, rzadkich książek, niebardzo zdecydowana, co zrobić i gdzie jechać.

Ostatnia moja wycieczka poza Paryż, zanim trzeba było jechać nie pojętą czerwcową nocą do Tours, nie wierząc, że to już naprawdę i ostateczny wyjazd - było to właśnie na kilka dni przedtym - popołudnie w Saint Leu la Foret u Wandy, w jej sali koncertowej, do której szły przez otwarte okno ostatnie dla mnie powiewy francuskiego lata i w której wśród klawikordów - cacek z przed dwu wieków i klawikordów, robionych specjalnie dla Wandy stał fortepian Chopina, ten sam, na którym wygrał po raz pierwszy swe preludja na Majorce.

Jeszcześmy się wtedy łudzili, chcieli się łudzić że Paryż może nie będzie zajęty, że może przyjdzie jakiś cud, właśnie nowy cud Marny, że istnieje jakiś strzeżony przed wszystkimi sekret Weyganda, którego dowiemy się w ostatniej chwili, że wreszcie jeśliby nawet Niemcy mieli

okrążyć Paryż, to Paryż będzie się bronił, jak się bronił w roku siedemdziesiątym, jak teraz broniła się Warszawa. A w takim razie....łudziliśmy się... - musi przyjść jakiś cud, jakiś wstrząs w świecie, od owych bomb które spadną na Notre-Dame, na Łuk Gwiazdy, jakieś nowe siły ujawnią się, które nie dopuszczą do najgorszego, do niemożliwego...najgorsze, niemożliwe, nie do przeżycia dla nas i dla świata wydawało się nam wtedy pokonanie Francji i /w głębi duszy myśleliśmy/ zajęcia Paryża. Jedno przecież było pewne, nie do uniknięcia. W Saint Leu La Foret nie sposób było zostać, bez względu na to, co zajdzie w dniach najbliższych i jaki będzie los Paryża. W tej wojnie, gdzie oddziały zmotoryzowane przedzierały się nagle i szły sto kilometrów naprzód przez nic i nikogo niewstrzymane, gdzie choćby chciano nie można było bodaj na parę godzin przedtym nikogo o takim napadzi uprzedzić - Niemcy mogli znaleźć się w Saint Leu choćby nazajutrz; trudno było wątpić jaki wtedy byłby los Wandy - trzeba było wyjeżdżać natychmiast. Patrzałem na stare klawikordy Wandy, słuchałem szmeru drzew, dochodzącego z ogrodu i miałem w oczach moje pierwsze popułudnio w Saint Leu, w salce natłoczonej najświetniejszą publicznością świata, znawcami muzyki i pisarzami przybyłymi z Paryża; młodzieżą, która przyjeżdżała z dalekich krajów Europy i nawet z Ameryki, aby słuchać Wandy i dowiadywać się od niej najbardziej tajemniczego sekretu sztuki: niedościgłej, niezgłębionej prostoty wielkich mistrzów.

Wanda, która wychowana na wsi polskiej, zachowała polskość tak żywą, instynktowną, jaką tylko pejzaż polski wychodować możo, która w trzydzieści lat po wyjeździe z kraju miała służącego Kazia, do której uczennice Amerykanki i Włoszki musiały mówić po polsku "Mamusia", zobaczywszy mnie koło estrady zmieniła od paru miesięcy ogłoszony i oczekiwany program i, ująwszy coś z młodszego Bacha, zaczęła grać polonezy Ogińskiego, znane mi z dzieciństwa, ale właściwie nigdy nieznane, bo ich nie zna nikt, kto nie słyszał Wandy.

Pamiętam jak innego popołudnia obrócona do publiczności,między wykonaniem dwu części programu, odkrywając prawdę tak prostą i niezwykłą jak burzliwość klasycznego Rasyna, - tłumaczyła że Scarlotti, który wydaje się nam tak klasyczny - jest namiętny, nie po włosku ale po hiszpańsku namiętny.

Ileż razy miałem to rzadkie szczęście, przywilej przyjaciela i rodaka, że Wanda, gdy nikogo nie było - nie znawcy, ale jednemu z tłumu, wiecznie spragnionych muzyki grała ona, niedościgła mistrzyni, jakieś nieznane mu cuda Mozarta i na koniec zawsze owe polonezy Ogińskiego, których nuty zdawała się trząść jak kwiaty z jabłoni wśród drżenia klawikordu.

W willi Wandy, o parę kroków od tej sali, ileż to razy siedzieliśmy w jej bibljotece, w której było dosłownie wszystko, co stworzyli starzy mistrze, co o nich napisano, co było wiadome o starych instrumentach, o muzyce ludowej wszystkich krajów; na ścianach wisiały pamiątki pięknych przyjaźni: portret Tołstoja, któremu Wanda grała w Jasnej Polanie, szkice Rodina, wśród książek niejedną zdobiła przyjazna dedykacja Rilkego, Valeryego czy Gide'a.

Wanda była tego dnia taka sama jak codziennie, tak samo jak zawsze poważna i uśmiechnięta i choć nie wiedząca jak to uczynić przekonana że trzeba wyjeżdżać, że sen tylu lat, spędzonych w jedynie prawdziwym przepychu, jakim jest swoboda twórczości, sen o wypełnianiu się życia aż do końca tak samo, wśród miłości ludzi, wśród zachwytu dla piękna,wśród doskonałego jego pojęcia, że ten sen kończy się i że może to jest sen ostatni.

Po raz pierwszy wtedy i ja spojrzałem z trwogą przed siebie i poza siebie z boleścią. Willa Wandy zburzona, zrabowana jej bibljoteka, jej klawikordy ukradzione lub połamane - ta wizja tak łatwo mogąca się wypełnić - czyż to, doprawdy, nie był obraz tego, co się działo naokoło

nas, co się stało w Polsce, co czekało Francję, a gdyby ona miała ulecto i świat cały. Kiedyś, po wiekach, odkopią nas, jak renesans odkopał Grecję, ale teraz już po nas, już nic po klawikordach, nic po Scarlattim i Mozarcie!

I oto Wanda, idąc obok mnie swoim drobnym krokiem, w swej opiętej secesyjnej białej sukni, uśmiechając się jak uśmiechała się do publiczności wychodząc na estradę, mówiła te niezapomniane, najpiękniejsze jakich oddawna nie słyszałem słowa:

"To nic. To głupstwo. Cóż z tego, że ten dom będzie zniszczony, że zginą te książki i stare instrumenty. Oddaję je. Wyrzekam się ich z dobrej woli, aby tylko zło było złamane, aby ludziom było znów dobrze na świecie. Cóż znaczę ja? Cóż my wszyscy? Jest coś większego, coś piękniejszego. I o to właśnie chodzi."

Jan Lechoń

"Ziemia Wilczyca" Kazimierza Wierzyńskiego. x/

Mimo gigantycznych zmagań całej ludzkości i straszliwej walki narodu polskiego o swoją przyszłość, pojawienie się na emigracji nowego tomu poezji tak rasowego i polskiego poety, jakim jest Kazimierz Wierzyński, stanowi wydarzenie niepoślednie. Każdy bowiem Polak, poniechawszy choćby na chwilę zn jnej ścieżki losu emigracyjnego, może zagłębić się w zaciszną zadumę tych natchnionych strof, by udać się na poszukiwanie utęsknionego wyrazu własnych cierpień, rozmyślań i trosk. W tych nadziejach nie spotka go zawód. Kazimierz Wierzyński przecież,wiemy to wszyscy, wrósł w sprawę polską najgłębszemi korzeniami swojej poetyckiej indywidualności, z niej czerpie siłę uniesienia, moc dramatycznego władania poetyckim słowem, prawdę najboleśniejszą i sens najtajniejszy uczucia. Jest on całkowicie z nami, a my znajdujemy siebie w nim - toniewątpliwie najzaszczytniejsza klasyfikacja, jaka może dziś spotkać polskiego poetę. Jego żywioł poetycki jest drgająco żywy, autentyczny i bezpośredni, wyrwany z krwawych dziejów polskiego narodu. Ale mimo,że los Ojczyzny zwalił się na niego potwornym huraganem rozpaczy i zwątpienia, Wierzyński nie zatracił swej najcenniejszej właściwości: panowania nad słowem i formą. Strofy jego zachowały piękno i rytm klasycznej równowagi, z chaosu bólu i miłości ocala wola porządkowania, wyjaśniania, dociarania do ostatecznego sensu wydarzeń.

Ta cecha ostatnich jego wierszy wyróżnia go charakterystycznie w gronie innych poetów emigracyjnych, szczególnie od Stanisława Balińskiego, którego czysty i głęboko osobisty liryzm zajaśniał dopiero na wygnaniu z nieoczekiwanym bogactwem piękna. Wierzyński nietylko jest lirykiem, lecz w niemal każdym utworze odkrywa tę siłę fatalną idei, która wiedzie naród poprzez ofiary i cierpienia do swego dziejowego przeznaczenia. Spotyka się, jak to powiedział Józef Conrad-Korzeniowski - " z duchem przenikającym kraj, duchem, którego pełno pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach". Zagłębia się w przeszłość narodu, by odcyfrować jej sens i wymowę, wierzy w posłannictwo jakie spełnia wobec ludzkości w walce obecnej,przenika jego przyszłość. W "Ziemi Wilczycy" Wierzyński w swojej przedziwnej linji rozwoju - od apoteozy radosnej witalności w młodzieńczych tomikach poprzez klasyczne osobiste zadumy liryczne - doszedł do najpełniejszego uwydatnienia mesjanistycznego heroizmu, który jest już w jego przedwojennym poemacie "Wolność tragiczna".

Pułki polskie, które zmagają się z niemieckimi czołgami, są jakby promienne kohorty, walczące i umierające w obronie tysiącleci kultury

tych wszystkich wartości duchowych, stanowiących najdroższe dziedzictwo ludzkości i sens naszej cywilizacji.

Bijemy się o cały świat,
Biją się polskie pułki
O Nike Samotracką,
O stare ateńskie zaułki,
O tysiące minionych lat.
O Akropol i Kapitol,
O Grecję i Rzym
Uderza ułańskie kopyto,
Artyleryjski dym.

To też z goryczą stwierdza, że Europa nie pojęła, o co żołnierz polski się bije i że w tej najtragiczniejszej próbie dziejowej nie potrafiła się wznieść na wyżyny bohaterstwa polskiego.

Ostatni żołnierz
W warszawskim okopie
Jeszcze się tuła nocą,
Patrzy zdumiony
Po całej Europie
Czemu nie biegnie
Swoim kohortom
Z pomocą.

Pragnie wyrwać ją ze zgubnego bezwładu i zbudzić jej czujność na sprawy wiekuiste, których losy w tej zawierusze krwawej się ważą:

Duchy, na których budował się świat,
Wieki, z których to wszystko w siebie wchłonął,
Usłyszcie nasze wojenne trąby:
To naprawdę wolność,
To naprawdę honor!

Przeciw nam
Tylko tanki i bomby.

Mimo że poeta pisze, że "homerowego trzeba nam śpiewu i homerowych rapsodów", znajdziemy w nowym tomie szereg wierszy o najczulszej, czystej nucie lirycznej, gdy ich motywem jest tęsknota do kraju. Śnieg w Paryżu przypomina poecie łazienkowskie kasztany i topole, pokryte osędzieliną, widok z okna na Sekwanę wyczarowuje Wisłę, nad którą krążą wrony, w oczach przyjezdnych szuka utęsknionych krajobrazów Polski.

Szukam cię w nieznanych, utrudzonych oczach,
Szukam cię w nieznanych, poszarzałych twarzach,
Ziemio jałowcowa na połogich zboczach,
Zamyślona sennie na leśnych cmentarzach.

Szeroka, bogata gama uczuć oraz wysokie, heroiczne napięcie ideowe wizji patrjotycznej sprawi, że nowy tom poezji Kazimierza Wierzyńskiego stanie się niejako szkaplerzem poetyckim Polaka na emigracji. Zasługuje na to również ze względu na swoje krystaliczne piękno formy.

Zenon Kosidowski

x/ Kazimierz Wierzyńki: Ziemia Wilczyca - Nakł.M.I.Kolin,Londyn oraz Codziennego Niezależnego Kurjera Polskiego, Buenos Aires.

Hodowla niewolników.

-Kazał -mówiła przez łzy dozorczyni- kazał ten łotr, żeby w dwadzieścia cztery godziny nie było nikogo w kamienicy! Ja jedna mam się zostać, powiedział.

-A meble?

-Meble każden może sobie zabierać, byle do jutra do ósmej wieczór nic się nie zostało, powiedział.

W chwilę potem zebrali się zrozpaczeni lokatorzy kamienicy w jednym mieszkaniu. Była to mała garstka. Mężczyźni w sile wieku poznikali, gdy "ten łotr", porucznik Gestapo, sprowadził się do kamienicy. Przyszła więc stara nauczycielka francuskiego, jeszcze starszy pianista z kaszlącą żoną, młoda matka z półrocznym dzieckiem na ręku i paru podobnych niedobitków życiowych. Myśleli biedacy, że uda się im przesiedzieć zimę spokojnie w tej kamienicy. Niektórzy powprawiali sobie nawet szyby w oknach.

-Dobrze że przynajmniej pozwalają zabrać meble -próbowałem pocieszyć ich. Nagle Kazia, kucharka z piątego piętra, złapała się za głowę.

-Jezu Chryste!..Takżeś....takżeś my zapomnieli, że to jutro święto. Nie dostanie nigdzie ani robotników, ani wozu!

Nikt dotychczas nie pomyślał o tym ważnym szczególe. Wartość mebli, ubrań i bielizny była bardzo wysoka. Teraz szczęśliwcy, którym wojna oszczędziła te resztki majątku, mieli stracić je. Wszystko wezmą Niemcy.

-Dlatego świnia pozwala zabierać rzeczy, że na ten sposób i tak nikt nie zdoła ich zabrać.

Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Nie zależało mu na meblach bo mógł brać je skąd chciał. Mógł też kazać nam wynosić się, a rzeczy zostawić, jak często robili. Nie zależało mu też na opinji w naszych oczach, dlaczego więc miałby zrzucać winę z siebie na święto.

-Pewnie zapomniał o tym święcie.

-Akurat! Zapomniał! To my zapomnieli, ale nie on!

-A może jednak rzeczywiście...

-Jak tak, to niech pan idzie i przypomni mu!

Pomysł ten znalazł ogólną aprobatę.

-Pan jest właśnie porządnie ogolony i ma jakie takie ubranie...

-Pan mówi po niemiecku, to łatwiej pana wysłucha -przekonywał mnie płaczliwym głosem pianista.

-Pan jest blondyn, a oni wolą blondynów -padł wreszcie argument istotnie poważny. Dziwnie to głupie, a jednak prawdziwe. Jasne włosy były legitymacją nordyckiego pochodzenia w antropologji wyznawanej przez nazi. Ponieważ tylko dziecko na rękach matki miało włosy jaśniejsze odemnie, w chwilę później byłem w saloniku wszechmocnego porucznika.

Gdy wszedł, grzecznie przeprosił mnie za chwilę czekania, potem wskazał mi fotel i nie usiadł, póki ja nie usiadłem. Przyznam się, że byłem zaskoczony uprzejmością, z którą częstował mnie papierosami, zmuszając żebym zapalił pierwszy.

-Więc czym mogę panu służyć. Słucham pana -zapytał z najmilszym uśmiechem.

-Pan wydał rozporządzenie, żebyśmy w dwadzieścia cztery godziny opuścili nasze mieszkania - zacząłem.

-Bardzo pana przepraszam, że przerywam, ale chciałbym żeby pan wiedział, że...że jest mi naprawdę i szczerze przykro. Ja doskonale rozumiem, że jest to dla państwa prawdziwa tragedja...Takie mrozy i brak mieszkań...Ale cóż ja mogę zrobić...Jestem sam żołnierzem i...mimo całego współczucia nie mogę cofnąć rozkazu.

-Chodzi nam tylko o to, że do jutra do ósmej wieczorem nikt nie

zdąży zabrać swoich rzeczy. Jutro święto.

-Ach, jutro święto? -zdziwił się.-O, to przykre...Ale trudno,żebym z tego powodu zmieniał kalendarz -zażartował, więc i ja przeszedłem na ten ton.

-Wystarczy, jeżeli pan porucznik zmieni termin w rozkazie. Prolongata o dwadzieścia cztery godziny leży w granicach możliwości pana porucznika.

Śmiejąc się wstał, dając znać, że uważa przyjęcie za skończone.

-Jeżeli tylko o to chodzi, może pan śmiało zostać o dwadzieścia cztery godziny dłużej. Nawet o czterdzieści osiem! Zaręczam, że z tego powodu nie spotka pana nic przykrego.

-Nie wyobraża pan sobie, panie poruczniku, jak się tam wszyscy ucieszą - powiedziałem na pożegnanie, żeby ominąć w ten sposób dziękowanie, podobnie jak ominąłem proszenie.

-A czemu ucieszą się -zapytał nagle.

-Będą mogli zabrać swoje rzeczy. Pieniędzy dziś nikt nie ma, pracy również, rzeczy to dziś cały majątek tych ludzi.

- Ale ja o tych ludziach nic nie powiedziałem -oświadczył niespodziewanie. -Dałem pozwolenie tylko panu.

-Sądziłem, że pan porucznik mówi o mnie, jako o jednym z nich.

-Nie.Mówiłem tylko o panu -oświadczył krótko.

-Ale...ja przyszedłem w imieniu wszystkich...

-Wyjątek mogę zrobić dla jednego, nie dla wszystkich. Rozkaz musi być wykonany -zakończył kategorycznie, podając mi rękę na pożegnanie.

Dokończenie nastąpi.

Antoni Gwojdziński

"R z e c z d a l e k a - t a k a b l i s k a".
W czterdziestolecie "Wesela".

Gdy dnia 16 marca 1901 r. odegrano po raz pierwszy w teatrze im. Słowackiego w Krakowie Stanisława Wyspiańskiego "Wesele", wrażenie było do głębi wstrząsające. Siła jego sugestji nie mniejsza jest po latach czterdziestu. I dzisiaj, bardziej może niż wtedy, "tak się w każdym z nas coś burzy...tak się w każdym z nas coś zbiera," a jednak pogrążamy się w bezwładzie i "pieścimy się jeno snami."

Oczywiście nie mam tu na myśli Kraju i jego bohaterskiej i nieugiętej postawy. Rozważania moje odnoszą się do naszego tylko uchodźczego podwórka.

Snuje nam się może "dramat groźny, szumny, posuwisty" ale nie słuchamy Słowa-Rozkazu Wernyhory, tylko dajemy się przygniatać "pospolitości, która skrzeczy i tłoczy," chociaż za Gospodarzem niejednokrotnie powtarzamy, że"u nas wszystko w wielkiej skali, niebotyczne."

Dzisiaj też chwila znacznie bardziej osobliwa, niż wówczas, gdy po raz pierwszy poeta wezwał całe ówczesne społeczeństwo polskie na deski krakowskiej sceny i przedstawił je w szopkowym korowodzie. Usypiające granie Chochoła rozlega się nadal. W takt jego kręcimy się w kręgu spraw małych, przyziemnych, niepomni, że naszej pieczy powierzony został złoty róg. Choć świat cały w płomieniach lub w gruzy się wali, nasza "chata rozśpiewana".

A to przecież z obrazu Matejki zstąpił lirnik Wernyhora, mickiewiczowski prorok zmartwychwstania Polski, i każe rozesłać wici i zgromadzić ludzi. I do nas jego wezwanie się odnosi "niech wszyscy natężą słuch, czy nie posłyszymy nadciągającej burzy wyzwolenia.Ale czuwać musimy, bo to będzie "bardzo rano, skoro zejdzie pierwsze słońce," i nie

wolno nam zasnąć jak Gospodarz, lub sobie zleconych zadań komu innemu, jak on Jaśkowi, powierzać do wykonania. Odpowiedzialność nasza większa niż pokolenia sprzed lat czterdziestu. My musimy z Wernyhorą współdziałać. Nie wystarczy trwać w "zasłuchaniu, jak w zachwycie duszy" i zamiast o złotym rogu myśleć o czapce z pawimi piórami.

Zatargało "Wesele" sumieniem swego pokolenia. I dzisiaj, po latach czterdziestu ten arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego jest dziełem niespożytej wartości. Nie przestał być piorunem w brzemiennym burzą czasie i ognistą rysą rozświetlającą widnokrąg. "Rzecz daleka - taka bliska".

Wytężamy, wytężamy słuch. Ponad wabiącą, pociągającą, leniwą melodją Chochoła słyszymy głosy inne. Furkot śmigieł polskich samolotów i grzmot karzących bomb, warkot czołgów na pustynnych piaskach, stąpanie żołnierzy na moskiewskich równinach. Oto oni wypełniają Słowo-Rozkaz, Rozkaz-Słowo, by nadeszła chwila dziwnie osobliwa, że dokonawszy dzieła staną "z chorągwią i hufcem sprawy" w wawelskim dworze i u wrót bohaterskiej Warszawy.

Ludwik Krzyżanowski

R y s z a r d P o b ó g: Ż o ł n i e r s k i e s t r o f y.
Nakład: Tygodnik "Odsiecz" Windsor, Ontario 1942

Tomik wieszy żołnierskich Ryszarda Pobóga przeczytałem z prawdziwym wzruszeniem. Prostota formy, bezpośredniość uczucia oraz bezpretensjonalność, będąca wyrazem braku pozy literackiej - nadają tym poezjom wdzięk i czar ujmujący. W dodatku autor właśnie w tej prostocie zdradza rzetelną kulturę literacką. Swoboda i potoczystość wierszowania nie jest tu wynikiem płycizny, lecz wypracowanego panowania nad słowem i poetyckim wyrazem. U kolebki tych przemiłych liryk żołnierza-wygnańca stała nie fałszywa ambicja literacka, lecz wewnętrzna konieczność wyrażenia intymnych uczuć i myśli. Dlatego wiersze Pobóga są i uczciwe i autentyczne w treści. Stanowią one niewątpliwie ciekawy przyczynek do zbiorowej psychologji obecnej emigracji żołnierskiej. Zapewne niejeden z tych wierszy przetrwa zawieruchę wojenną i powróci do kraju. Będzie to najmilsza i zasłużona nagroda dla autora. Ale zanim to nastąpi, każdy Polak na emigracji powinien wziąć do ręki tomik Ryszarda Pobóga. Nie pożałuje tego, bo spędzi kilka chwil skupienia, zadumy i wzruszenia.

Tematy wierszy są bliskie każdemu uchodźcy. Wiara i nadzieja, gorycz i porywy gniewu, tęsknota do miasta rodzinnego, wspomnienia ojczystego kraju i dawnej szczęśliwości, marzenia o radosnym powrocie, listy do żony i matki, pieśń o śmierci żołnierskiej na nutę ludowej kołysanki. Przytoczymy jeden z fragmentów:

Daleka droga do ruin Warszawy,
Do szarej Wisły, która płynie łzami,
Lecz ty nam, Boże, zbłądzić nie pozwolisz,
Tęczę wolności rozpalisz nad nami.

Daleka droga do bliskich, do swoich,
Ale w tę drogę wyruszyć nam pilno,
A Ty, raz jeszcze, pokażesz nam Boże
Nasz Lwów i Kraków, i Gdynię, i Wilno.

Daleka droga do chabrów błękitnych,
Które zakwitły na bitewnych polach,
Lecz my tam jeszcze odmówimy pacierz -
Błogosław Boże. Dziej się Twoja wola.

Zenon Kosidowski